

MICHAŁ GŁOWIŃSKI*

Z szuflady Profesora Michała Głowińskiego**

Trzy tęgie głowy. III**Zbigniew Bieńkowski (1913–1994)**

Poznałem go w zamierzchłej przeszłości, pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy blisko współpracowałem z „Twórczością”. Przychodziłem do redakcji speszony i oniesmielony, wydawała mi się ona niesympatyczna – z trzema wyjątkami: Jana Śpiewaka, Romana Karsta i właśnie Bieńkowskiego. Nie traktowali oni młodego dostawcy recenzji z góry, widzieli w nim partnera. Bieńkowski zaczął mi okazywać sympatię po tym, jak ogłosiłem szkic o *Trzech poematach*. Nie zaglądałem do niego od dziesięcioleci, nie lubię swoich wczesnych prac, wiem jednak, że on był zadowolony, utrzymywał, że głęboko wniknąłem w jego utwory. Widywałem go wówczas dość często, potem nastąpiła długa przerwa – aż do momentu, gdy spotkaliśmy się w osiedlowym sklepie i okazało się, że mieszkamy w sąsiedztwie (on przy ul. Kmicica).

Niewielkiego wzrostu, drobny, wyglądał niepozornie. Ktoś, kto go nie znał, mógł sądzić – jak w przypadku Białoszewskiego – że to rzemieślnik czy sprzedawca z pobliskiego sklepu. Nie wyróżniał się niczym, aż do momentu, gdy zaczął mówić, wówczas szybko zmieniała się jego twarz, stawała się w jakiś sposób natchniona i niezwykła, a to, co mogło się wydawać pospolite, stereotypowo plebejskie, zniknęło. Zwykle angażował się energicznie w to, co mówił – czasem w sytuacjach, które silnego piętna osobistego nie wymagały. Wiem, że niektórych ten sposób mówienia, czy w ogólności bycia, raził, dopatrywano się w nim afektacji, pomawiano o egzaltację. Ale Bieńkowski taki już był i we wszystko, co mówił i robił, angażował się całym sobą. Wyrażała się w tym jego nie-

* Prof. dr hab. Michał Głowiński (mg@michal.glowinski.vdl.pl), członek rzeczywisty PAN, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

** W 2021 roku ukazała się książka *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów* (Wydawnictwo Wielka Litera), napisana przez Michała Głowińskiego. Książka zawiera krótkie eseje przedstawiające sylwetki wybitnych, zmarłych polskich humanistów. Początkowy zamiar autora, aby owe eseje (a napisał ich ponad 220!) spoczęły w szufladzie jego biurka, został przez niego zarzucony i część z nich ukazała się drukiem. Nadal jednak ponad 160 tekstów spoczywa w biurku. W uzgodnieniu z prof. Głowińskim redakcja „Nauki” – począwszy od numeru 2/2022 – w kolejnych numerach drukuje po trzy eseje, pod zbiorczym tytułem: *Trzy tęgie głowy*, wybrane przez autora „z szuflady” jego biurka (zob. przypis do pierwszego zestawu esejów – „Nauka” 2022, nr 2, s. 151).

wątpliwa nerwowość, ten wewnętrzny niepokój, którego nie umiał, a może nie chciał, ukrywać, ale też swoista dynamika i ruchliwość („szybki jak maszynka”).

Taki mi pozostał w pamięci z lat dawnych. O jego biografii wiem niewiele. Wywodził się z Warszawy, jego ojciec był – zdaje się – krawcem. Chodził jednak do elitarnego gimnazjum, prowadzonego przez księży Marianów, a jego kolegami byli – jak wspominał w jednym z wywiadów – różni Potoccy i Czartoryscy. Jak trafił do tej arystokratycznej szkoły, nie wiem; być może ktoś ufundował stypendium. Potem skończył romanistykę, wyjeżdżał do Francji, tuż przed wojną zdążył wydać debiutancki arkuusz poetycki. W czasie okupacji działał w podziemiu, jednakże nie z bronią w ręku, trudno zresztą wyobrazić go sobie jako bojownika. Jak mi kiedyś opowiadał, wykonywał różne prace dla delegatury rządu londyńskiego, czasem ważne i odpowiedzialne; sporządzał między innymi raporty o tym, co się dzieje w Generalnej Guberni. Jego sympatie polityczne kierowały się w lewą stronę, bliskie były PPS-u.

Po wojnie Bieńkowski włączył się w życie literackie, a wydana w roku 1945 *Sprawa wyobraźni* była jego pierwszym wielkim sukcesem. W latach socrealizmu pracował w „Twórczości”, był sekretarzem redakcji. Jako poeta nie ogłosił wtedy ani słowa, jako krytyk czasem coś publikował, co nie wchodziło w konflikt z ówczesną oficjalną estetyką, był pisarzem z tolerowanego marginesu, jednym z tych całkiem licznych literatów, którzy zajęli się tłumaczeniami (z tego właśnie czasu pochodzą jego mistrzowskie przekłady wierszy Victora Hugo).

Kulminacja działalności literackiej Bieńkowskiego przypada na popaździernikowe dziesięciolecie. To wówczas publikuje swoje poetyckie arcydzieło (*Trzy poematy*), wtedy ogłasza liczne eseje, które złożyły się na dwa grube tomy, wydane w odstępie kilku lat. Jest to okres naprawiania wieloletnich zaniedbań w znajomości współczesnej literatury światowej; wiele się tłumaczy, wiele się o niej pisze. Bieńkowski okazuje się nieprześcignionym znawcą zwłaszcza literatury francuskiej i ma liczne przewagi nad innymi, którzy informują o tym, co się dzieje na szerokim świecie. Ma przewagi przede wszystkim dlatego, że nie jest tylko informatorem, nie zadowala się powiadamianiem o faktach i streszczaniem zachodnich książek, jest literackim myślicielem. Pisze o problemach, umie wskazać to, co ważne, i oddzielić od tego, co tylko modne, potrafi pokazać uwikłania filozoficzne nowych prądów i tendencji, a także poszczególnych wybitnych utworów. A przy tym pisze od siebie, nie tak intelektualnego i emocjonalnego zaangażowania (chyba nie umiał niczego robić na chłodno). Nie deklaruje się jako egzystencjalista, ale myśl egzystencjalną (w wersji francuskiej) zna doskonale. Nie tylko informuje o egzystencjalizmie, który był w okresie tużpowojennym wielkim zjawiskiem, ale najwyraźniej w stylu egzystencjalistycznym myśli. Można powiedzieć, że w latach popaździernikowych egzystencjalizm wisiał w polskim intelektualnym powietrzu, stał się swiatopoglądem potocznym, przez wielu przyjmowanym bezrefleksyjnie. Eseje Bieńkow-

skiego odpowiadały na potrzeby czasu, nie dają się jednak w żaden sposób sprowadzić do prostego i biernego wytworu tej atmosfery. One czynnie wpływały na jej kształtowanie.

Oddziaływały szeroko. Były to świetne lata „Twórczości”, która wówczas zdobyła pozycję najlepszego polskiego pisma literackiego, Bieńkowski był jej pierwszym eseistą. Nawiązywał do awangardy krakowskiej, nie był jednak ideologiem nowoczesności, choć dla unowocześnienia literackiego życia i literackiego myślenia zrobił więcej niż ktokolwiek inny. Umiał ujawniać problemy, formułować je w sposób głęboki i dociekliwy, umiał opisywać nowe tendencje formalne. Nie mogę nie wspomnieć o moim wobec niego długu wdzięczności. Jego prace były dla mnie przewodnikiem po literaturze współczesnej i zarazem świetną szkołą krytyki, nie tylko dla mnie zresztą.

Ale w drugiej połowie lat sześćdziesiątych zaczął schodzić na margines. Wydaje się to trudno zrozumiałe, spróbuję więc wskazać czynniki tak ogólne, jak indywidualne, które miały na to jakiś wpływ. Nie bez znaczenia pozostał fakt, że ta formacja, z którą związał swe literackie losy: szeroko rozumiany egzystencjalizm, traciła dynamikę i stawała się mniej atrakcyjna. Podobnie się działo z ruchem związanym z nową powieścią, o którym pisał znakomicie. Najważniejsze jest jednak to, że w Polsce wygasła dekada październikowa z jej zainteresowaniem dla tego, co się dzieje na świecie, z jej zafascynowaniem nowatorstwem, a swobody ulegały stopniowym ograniczeniom. W owym czasie Bieńkowski więcej uwagi poświęcał polskiej poezji współczesnej, pisał rzeczy ciekawe i wartościowe, nie miały one jednak tego znaczenia, co szkice zebrane w *Pieklach i Orfeuszach* i w *Modelunkach*. Jako poeta milczał i popadł niemal w pełne zapomnienie. Nieliczni pozostali mu wierni i pamiętali, że jest wielkim poetą.

W przesunięciu na margines miały znaczenie podziały, zarysowujące się w miarę, jak narastały konflikty, wzmagaly się partyjne naciski, a po przeciwnej stronie krystalizowała się grupa pisarzy opozycyjnych. Bieńkowski nie miał sympatii dla komunizmu, ale w pisarstwie swym od spraw politycznych się dystansował. W jakimś sensie był esteta, który sądził, że kwestiami literackimi można się zajmować poza podziałami, niezależnie od koniunktur i konfliktów politycznych, nie wziął pod uwagę faktu, że w systemie totalitarnym nie można się od takiego kontekstu uwolnić – nawet gdyby się pisało jedynie o śpiewie słowika lub pięknie róży. Zrobił błąd, zaczął publikować w tygodniku „Kultura”, reprezentującym obskuranckie i zamordackie tendencje w partii – i co najmniej przez kilka lat konsekwentnie bojkotowanym przez sporą liczbę pisarzy. To pismo w pierwszym okresie swojego istnienia było na żenująco niskim poziomie, miało marnych współpracowników, Bieńkowski (tak jak Przyboś i Sandauer) je uświetniał. Prawda, nie opublikował w nim ani jednego zdania, którego musiałby się wstydzić, o współczesnej poezji pisał to, co myślał i co mógłby głosić na jakimkolwiek forum, ale sam fakt, że publikował w bojkotowanym tygodniku go określał i wpływał na jego pub-

liczny wizerunek. Bieńkowski uważał, że ma prawo drukować tam, gdzie go proszą o teksty, niezależnie od charakteru czasopisma. W swych późnych latach ogłosił kilka recenzji w skrajnie prawicowym dzienniku „Nowy Świat”; uczynił to nie dlatego, że miał sympatie dla agresywnej prawicy, była mu ona zdecydowanie obca, ktoś go poprosił o współpracę, nie dostrzegł powodów, by odmawiać. Ówczesny krąg warszawskiej „Kultury”, którą redagował cyniczny i wyzbyty wszelkich skrupułów Janusz Wilhelmi, nie był oczywiście jego środowiskiem. To nie było dla niego właściwe miejsce. Nieszczęście polegało na tym, że od pewnego momentu nie mógł sobie takiego miejsca znaleźć na polskiej agorze literackiej.

Zaważyło na tym, być może, również to, że na jakiś czas z niej się usunął, wyjechał na kilka lat do Ameryki, zaproszony przez uniwersytet stanu Iowa. Po powrocie pisał o literaturze amerykańskiej, ale jego szkice nie miały już tego znaczenia co eseje z dekadety popaździernikowej. Pracował nadal w „Twórczości”, ale nie odgrywał w niej tej roli co dawniej. Nie wiem, kiedy przeszedł na emeryturę, w każdym razie jego relacje z miesięcznikiem znacznie się rozluźniły, by w końcu całkiem ustać. Jest charakterystyczne, że Jerzy Lisowski odmówił udziału w audycji wspomnieniowej o Bieńkowskim, przygotowywanej przez III Program Polskiego Radia, tłumacząc to tym, że był on wobec „Twórczości” niechętny (chodziło, oczywiście, o literacko zdegradowaną „Twórczość” z ostatniego okresu. Bieńkowskiemu, pisarzowi o świetnym smaku i wyrafinowanemu znawcy literatury, program Henryka Berezki i „rewolucje artystyczne w prozie” nie mogły się podobać.

Bieńkowski przeprowadził się do Słupska, gdzie mu zaofiarowano jakieś lokum (z pewnością w tym celu, by wzmocnić tamtejsze nader mizerne środowisko literackie; można się domyślać, że wojewódzki sekretarz partii był snobem i chciał mieć na podległym sobie terenie znanego pisarza). Któregoś roku (w połowie lat siedemdziesiątych) zaproszono grupę osób z IBL-u, w tym również mnie, do wygłoszenia wykładów w słupskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Jednym z punktów programu było spotkanie z tamtejszym środowiskiem literackim. Z trudnym do ukrycia zdumieniem ujrzałem Zbigniewa Bieńkowskiego jako słupskiego literata. Robił dobrą minę do złej gry, udawał, że niczym się nie różni od swych nowych kolegów. Oczywiście różnił się, bo wszystkim (poza wzrostem!) przerastał miejscowych literatów, którzy byli lokalnymi wielkościami. Ta zaskakująca sytuacja, bo nie wiedziałem, że przeniósł się on do Słupska, zrobiła na mnie przykre wrażenie. Sądziłem, że jestem świadkiem upadku znakomitego pisarza, który wpakował się w położenie bez wyjścia. Publikował wówczas pod pseudonimem Gracja Traczyk.

Po jakimś czasie zaczynałem widywać Bieńkowskiego znowu w Warszawie, okazało się, że mieszkamy w sąsiedztwie; spotykałem go zwykle w osiedlowym sklepie bądź na targu lub przy kiosku z gazetami, bo obaj zwykliśmy robić zakupy około pierwszej.

Wydawało mi się, że jest mniejszy niż dawniej i że unika kontaktu ze mną, spotkania ograniczały się do skromnego „dzień dobry”. Nie sądziłem, że ma do mnie jakieś pretensje czy żale, domyślałem się, że jego widoczna gołym okiem powściągliwość wynika z czego innego. Zapomniany, wegetujący na marginesie życia literackiego, nie odnawia relacji z dawnymi znajomymi, którzy byli świadkami jego pisarskiej świetności. Myślę, że te domysły były uzasadnione. W grę zapewne wchodziło i to, że w tym okresie trapiły go groźne choroby, przeszedł zawał serca, cierpiał na poważne dolegliwości żołądka, podejrzewano – na szczęście bezpodstawnie – nowotwór, musiał się poddać ciężkiej operacji.

Na literackim marginesie trwał do końca lat osiemdziesiątych, to wtedy właśnie, jeszcze za Polski Ludowej, jego publikacje znowu zaczęły zwracać uwagę. Chciałbym szczególnie podkreślić, że nie dał się skaptować w czasie stanu wojennego, odmawiał współpracy z oficjalną prasą, nie wstąpił do reżimowego Związku Literatów. Fakt ten uwydatniam, bo wielu pisarzy starszego pokolenia, w tym tacy jak Leopold Buczkowski czy Kazimierz Truchanowski, którzy z komunizmem nie mieli nic wspólnego, dało się zwieść – zapewne trochę z dezorientacji, trochę ze względu na konieczności życiowe. Bieńkowski, choć niewątpliwie rozczarowany swoją kondycją zapomnianego literata, trzymał się dzielnie, w czym też – jak się domyślam – zasługa jego ostatniej, dużo młodszej żony, świetnie zorientowanej w tym, co się dzieje, sympatyzującej z opozycją i niechętniej temu, co się wówczas nazywało kolaboracją. Czy Bieńkowski publikował w prasie pozacenzuralnej pod pseudonimem, nie wiem, nie jest to jednak wykluczone.

Na literacki rynek powrócił felietonami ogłaszanymi w „Tygodniku Kulturalnym”, piśmie należącym do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, ale nieograniczającym się do problematyki chłopskiej. Miało ono przynajmniej w pewnych okresach większe ambicje, a w latach, o których mówię, przeżywało swój dobry okres. Felietony te nie oddziaływały tak, jak prace krytyczne z dekady popaździernikowej, ale zostały zauważone, mówiło się o nich. Publikował je Bieńkowski aż do likwidacji tego tygodnika. Potem, jak słyszałem, przeniósł się do efemerycznego pisma „Fortuna”, ale o nim nic nie wiem, nie udało mi się do niego dotrzeć. Stał się komentatorem szybko się przekształcającego życia literackiego, jego recenzje były zazwyczaj czymś więcej niż recenzjami. Pisał o pozycjach różnych, tych, które go zaciekały, lub tych, do jakich udało mu się dotrzeć. Omawiał też bardzo przychylnie moje książki. Nie ograniczał się do pisania, uczestniczyłem z nim w radiowej rozmowie o tradycjach poezji współczesnej (trzecim dyskutantem był Krzysztof Karasek), a także w dyskusji o położeniu literatury współczesnej, zorganizowanej przez redakcję miesięcznika „Literatura”. Wspominam o tych imprezach, w których brałem udział, niewątpliwie było ich więcej. Bieńkowski chętnie się włączał w tego rodzaju działania, był zadowolony, że może w nich uczestniczyć. W ostatnich latach blisko współpracował z Polskim Radiem, zwłaszcza z Pro-

gramem II. Doskonale odczytywał swoje felietony – tą tak charakterystyczną nerwową intonacją, świadczącą o emocjonalnym zaangażowaniu. O każdej sprawie wypowiadał się tak, jakby była szczególnej wagi, czy wręcz zależały od niej losy świata. Problemy literatury nigdy nie były mu obojętne, żył nimi.

Bodaj w jednym z wywiadów powiedział, że kocha literaturę miłością trwałą i namiętną. W tym wyznaniu starego człowieka było coś poruszającego i w istocie budującego; któż z młodszego pokolenia w ten sposób o tej miłości by mówił? Gorącym uczuciem darzył nie tylko to, co sam pisał, nie tylko to, co było mu z takich czy innych względów bliskie. Darzył wszystko, co mu się wydawało piękne, oryginalne, wartościowe. Kiedy coś cenił, umiał rzecz wyłuskać z uwikłań nieliterackich, przede wszystkim politycznych. Pamiętam rozmowę z nim po śmierci Bohdana Czeszki, w czasie, kiedy podziały polityczne w środowisku literackim były wciąż silne. Powiedział mi, że będzie o Czeszce pisał, bo ceni jego styl i sądzi, że do prozy polskiej wniósł nowe tony – i rzeczywiście artykuł o nim napisał. To prawda, Czeszko był utalentowanym pisarzem, ale talent swój zmarnował, stając się jednym z reżimowych literatów, gotowych oddać władzy różne posługi. Bienkowski umiał ten cały paskudny kontekst polityczny wyrzucić poza sferę obserwacji, był w stanie zająć się tym jedynie, co w tej twórczości uważał za dobre. Wyrażała się w takim postępowaniu niewątpliwa wielkoduszność, ale także przekonanie, iż wówczas, gdy ocenia się przekaz artysty, uwikłania polityczne nie powinny grać żadnej roli. W czasach wyraźnych podziałów i rewolucyjnych przemian postawa taka nie mogła liczyć na poklask. Na początku roku 1989, kiedy ryczałtem odrzucano literaturę wplątaną w służbę komunizmowi, a niektórzy co gorliwsi skłonni byli posłać na śmietnik to wszystko, co powstało w kraju, bo wartościowa miała być wyłącznie literatura emigracyjna, ogłoszenie artykułu o Czeszce (nawet z okazji jego śmierci) świadczyło nie tylko o wierności zasadom, wymagało także pewnej odwagi cywilnej.

W działalności krytycznej Bienkowskiego z ostatnich lat zdumiewało mnie to, że interesował się twórczością najmłodszych, umiał w nią wniknąć i nią się przejąć, czyli zrozumieć. Zdarzało się, że pisał o autorach młodszych od siebie o więcej niż pół wieku. Było w tym naprawdę coś imponującego, zwłaszcza że nie pojawiały się tony mentorskie, nieznana mu była postawa sędziwego i doświadczonego mistrza, pouczającego adeptów i kandydatów do literackiej profesji. On nie udzielał rad, nie przekazywał wskazań, pisał o utworach młodych pisarzy tak, jak się pisze o pracach partnerów czy kolegów. Ich twórczość nie była dla niego tylko ciekawa, była także ważna. Nie znaczy to jednak, że zawsze chwalił. Umiał się przeciwstawiać, umiał wskazywać na mielizny i słabości, umiał ujawniać tony, które jemu wydawały się fałszywe i nieautentyczne. Jedną z ostatnich jego recenzji, bądź w ogóle ostatnią, było omówienie wybijającego się młodego poety z Krakowa, Artura Szlosarka.

Końcowe lata to wyjście z literackiego czyścica, którego los kazał mu zaznać za życia, to powrót na literacką scenę, jeśli nie triumfalny, to w każdym razie głośny i uroczysty, taki, który mógł zostać dostrzeżony przez każdego, kto interesuje się poezją. Pamiętam taką krótką rozmowę z Bieńkowskim na targu przy Wałbrzyskiej, między jednym zakupem a drugim, która odbyła się, jeszcze zanim wielki powrót stał się realnością. Jakby na marginesie powiedział mi, że nie martwi się, iż jego poezja jest teraz zapomniana, ma bowiem pewność, że zostanie znowu dostrzeżona i doceniona (to samo mówił o twórczości Przybosia, która zresztą w zapomnienie tak głębokie nie popadła). I tak właśnie się stało, ukazały się poezje zebrane, wydano kolejny tom szkiców, złożony zresztą po części z przedruków ze zbiorów dawniejszych. Edycje te są zasługą Grzegorza Łatuszyńskiego, który założył wydawnictwo Agawa bodaj tylko po to, by te książki opublikować. Poświęcił tej sprawie wiele energii i wysiłków; uważa Bieńkowskiego za wielkiego poetę, postanowił zatem zrobić wszystko, by jego twórczość przywrócić publiczności. Jestem pewien, że bez dynamicznych i bezinteresownych działań państwa Łatuszyńskich jego renesans byłby niemożliwy. Łatuszyński też spowodował, że stowarzyszenie znaczących i bogatych biznesmenów wśród swych nagród za produkty przemysłowe uwzględniło literaturę. Nagrodę Srebrnego Asa otrzymał właśnie Bieńkowski (jest być może jej jedynym literackim laureatem). Sprowadzała się ona do wyasygnowania sporej sumy na wydanie książek; dzięki temu właśnie dwa wymienione tomy mogły się ukazać. Byłem na uroczystym wręczeniu tych nagród; odbyło się ono w upalny dzień lipcowy w roku 1992 w auli Akademii Sztuk Pięknych. Przyszło sporo osób, zjawiała się telewizja. Bieńkowski znalazł się wśród przemysłowców rozmaitych branż, premiovanych za swe wytwory – zdenerwowany, speszony, ale chyba szczęśliwy.

Była to pierwsza uroczystość, potem odbyła się następna, ale o niej wiem niewiele. Jak słyszałem, miała charakter jubileuszu, trochę oficjalnego, trochę prywatnego. Po wydaniu *Poezji zebranych* odbyła się w Klubie Księgarza kolejna uroczystość: z okazji przyznania Bieńkowskiemu nagrody jako autorowi najlepszej książki miesiąca. Sala była pełna, część zebranych stała, a Bieńkowski robił wrażenie człowieka w świetnej formie, doskonale mówił, nie miał w sobie nic z senilności. Zdumiało mnie, że choć unikał publicznych wystąpień, umiał tak szybko i tak bezpośrednio nawiązać kontakt z zebranymi. Dziękując za przyznaną nagrodę, powiedział, iż ma nadzieję, że parę lat pożyje i uda mu się jeszcze coś w życiu zrobić. Zmarł w Oborach kilka miesięcy później.

3–5 września 1994

Andrzej Janowski (1935–2020)

Andrzej był jednym z pierwszych kolegów, których poznałem po rozpoczęciu roku akademickiego. Mieliśmy relacje więcej niż poprawne, trudno jednak mówić o głębszej przyjaźni. Tworzył on wraz z Januszem Ankudowiczem, późniejszym badaczem czytelnictwa, pracującym w Bibliotece Narodowej, i Zbigniewem Wilskim, późniejszym profesorem teatrologii, wyróżniającą się przyjacielską trójkę. Wszyscy trzej mieli doskonałe maniere, co zresztą wówczas na oficjalnej skali wartości nie było cenioną cnotą (przypominało o tak zwanym burżuazyjnym pochodzeniu i burżuazyjnym wychowaniu). Andrzej miał prezencję w stylu nordyckim. Był wysokim jasnym blondynem, wyprostowanym jak struna, niebieskookim. O ile dobrze pamiętam, mówił mi kiedyś, że w swojej rodzinnej genealogii ma wątek austriacki, żadnych szczegółów nie znam. Może poza tym, że jego imię metrykalne, a więc oficjalne brzmiało nie Andrzej, ale Alfred, a więc dużo bardziej w germańskim stylu. O ile wiem, nigdy jednak nim się nie posługiwał, być może poza jakimiś dokumentami. I w życiu prywatnym, i w sytuacjach oficjalnych przedstawiał się i określał jako Andrzej. Wyłącznie to imię pojawiało się w nekrologach ogłoszonych w „Gazecie Wyborczej”; ukazało się ich kilka.

Przyjechał do Warszawy na studia z Radomia, w tamtejszym liceum uzyskał maturę. Na naszym roku był najmłodszym studentem, bodaj jedynym urodzonym w roku 1935. Nie wiem, czy z tym miastem łączyły go jakieś wcześniejsze związki rodzinne, czy znalazł się w nim razem z matką po Powstaniu, bo tam go ewakuowano. Pamiętam, że mi mówił, z jakich powodów zdecydował się na studia polonistyczne. Literatura nie stanowiła jego głównego przedmiotu zainteresowania, stanowiła go historia, a także działalność wychowawcza w wersji, jaką jej nadało harcerstwo. Były to dwie jego wielkie pasje. Trudno było w okresie stalinowskim im się oddawać. Harcerstwo w swej klasycznej postaci przestało istnieć, organizacje młodzieżowe zostały albo w ogóle zlikwidowane, albo zostały przekształcone według wzorów sowieckich i podporządkowane całkowicie działaniom indoktrynacyjnym i propagandowym. Historia Polski, podobnie jak wszelka inna, zwłaszcza w tym, co dotyczyło czasów nowszych, przestawała być nauką, stawała się domeną ideologicznych kłamstw. W tej sytuacji studia filologiczne mogły się wydawać mniej narażone na ideologiczne naciski i jednak mniej podległe dyrektywom stalinowskiego marksizmu. I w tym właśnie miejscu ujawnia się ponury paradoks. Tak rzeczy się miały, jeśli brano pod uwagę ogólną sytuację, mniejszą wagę przywiązując do konkretów i realiów. Przynajmniej w Warszawie sprawy kształtowały się w dużej mierze inaczej. Polonistyka na Uniwersytecie opanowana została przez Jana Zygmunta Jakubowskiego i jego współpracowników osobiście dobieranych. Grupa ta była wysoce upartyjniona i jednocześnie na niskim poziomie, nikt się z niej nie wybił. Sytuacja części

językoznawczej Wydziału Polonistyki była dozo lepsza, wykładana w niej lingwistyka była raczej konserwatywna, nie przestawała jednak być nauką. W przeciwieństwie do części literackiej szefem tej katedry był cieszący się od czasów przedwojennych opinią wybitnego uczonego Witold Doroszewski. Specjalizację lingwistyczną wybierały poza nielicznymi wyjątkami studentki. Andrzej pozostał wierny nauce o literaturze. Na naszym roku seminarium magisterskie z historii literatury epoki romantyzmu prowadziła profesor Zofia Szmydtowa, niekwestionowana uczona, mająca liczący się dorobek złożony głównie z prac opublikowanych przed wojną, co było dla pewnej części studentów czymś w rodzaju listu gwarancyjnego, zapewniającego, że pedagog jest osobą kompetentną i przyzwoitą, zresztą czasy się zmieniały, był to już okres przedpaździernikowy, powiewy odwilży stawały się bardziej odczuwalne.

Andrzej, podobnie do kilku innych kolegów, interesujących się wiekiem XIX, a także dzielących jego zainteresowania historyczne i ukierunkowania ideowe, wybrał seminarium magisterskie Szmydtowej. Mieliśmy już wybór, mogliśmy kierować się własnymi preferencjami i zainteresowaniami, znaleźliśmy się zatem w sytuacji lepszej niż początkowa, a także niż ta, jaka była dana kolegom zaczynającym rok czy dwa lata wcześniej. Zmiana była zresztą odczuwalna na każdym kroku. Zdolniejsi i bardziej świadomi rzeczy koledzy umieli z niej korzystać.

Niestety, nie pamiętam, co było przedmiotem rozprawy magisterskiej Andrzeja. O ile wiem, nie została ona ogłoszona drukiem. Przypuszczam, że stało się nim piśmiennictwo, idee i działalność którejs z patriotycznych grup młodzieżowych czynnych w pierwszej połowie XIX wieku; gdyby w tym czasie działało harcerstwo, będące jego wielką pasją, ono właśnie byłoby tematem uprzywilejowanym. Przyznać muszę, że nie orientuję się w karierze naukowej Andrzeja. Mimo że ukończyliśmy w tym samym roku ten sam wydział, związani byliśmy z różnymi instytucjami, działaliśmy w różnych kręgach, interesowaliśmy się różniącą się problematyką. Andrzej doszedł do profesury z pedagogiki. O ile wiem, był w tym środowisku naukowym ceniony i lubiany. Kiedyś Hanna Świda-Ziemba zapytała mnie, czy go znam. Wypowiadała się o nim z sympatią i szacunkiem, zdecydowanie go wyróżniała wśród pedagogów, a w ogólności nie ceniła specjalnie wielu osób związanych z tym wydziałem (kiedy rozmawialiśmy na ten temat, wróciła do swej głównej specjalności – socjologii). Andrzej nie był najlepszego zdania o poziomie i inteligencji pracowników tego wydziału, kiedyś – wiele lat później – dał mi to do zrozumienia. Swą drogę rozpoczął jednakże nie jako pedagog. Pierwszą pracę podjął – jeśli się nie mylę – w Bibliotece Narodowej. Nie było to miejsce przez niego wymarzone. Gdyby miał wolny wybór, byłby on z pewnością inny, wolałby zapewne już wtedy, jako świeży absolwent polonistyki, pracować bardziej wśród młodych ludzi niż wśród starych książek. Za Andrzejem podjęli w tej Bibliotece pracę jego koledzy, między innymi Janusz Ankudowicz, który w niej dożył ostatnich dni swojego krótkiego życia.

Po raz ostatni bodaj widziałem się z Andrzejem przed kilku laty – w Białymstoku, w czasie konferencji poświęconej Żeromskiemu. Miała ona charakter filologiczno-polonistyczny, referat Andrzeja dotyczył jednak w głównej mierze oddziaływania, interesowała go przede wszystkim społeczna rola twórczości tego pisarza. Jak zdołałem się zorientować, z polskich klasyków powieści, był to z jego punktu widzenia autor najważniejszy. To, że wybór padł na Żeromskiego, a nie – na Sienkiewicza, wydaje mi się charakterystyczny i znamieny. Autor *Przedwiośnia* fascynował go przede wszystkim jako pisarz-społecznik, odgrywający przez wiele dziesięcioleci rolę wychowawcy młodzieży. Nie wiem, czy łączyły go jakieś relacje z Jackiem Kuroniem, który odbudowywał harcerstwo po Październiku, wydaje mi się to w każdym razie wysoce prawdopodobne, Andrzejowi bliżej było do lewicy niż do prawicy. Wywodził się – tak w każdym razie mi się wydaje – z rodziny związanej z PPS-em, ta tradycja była dla niego ważna. Pamiętam, że w czasie którejś rozmowy powiedział mi, że w czasie studiów doznawał bolesnego poczucia samotności. Wydawało mu się, że rówieśnicy (poza najbliższymi przyjaciółmi) opowiedzieli się za komunizmem, stali się reżimowcami, a on w tej materii złudzeń nie żywił, w istocie niemal nie taił tego, co myślał o komunizmie w stalinowskiej wersji, w czym okazywał dużą odwagę, choć oczywiście nie mógł jawnie składać tego rodzaju ideowych deklaracji, bo w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych mogło się to fatalnie skończyć. Kiedyś mi powiedział, że wtedy próbował się uplasować wśród którejś z grup związanych z Kościołem katolickim, szybko jednak uznał, że nie jest to właściwe dla niego miejsce. W tamtym początkowym okresie ci, co byli przeciwnikami reżimu, szukali punktu oparcia właśnie w instytucjach kościelnych. Andrzej, z tego, co wiem, tego nie robił, był – jak wiele na to wskazuje – osobą religijnie obojętną. Z całą pewnością obca mu była koncepcja Polaka-katolika.

Po prostu daleki od tego, co głosiła endecja, w tym, co mówił i robił nie było żadnych śladów czy żadnych naleciałości nacjonalistycznych. „Pan Roman”; tak endecy określali Dmowskiego nawet po jego śmierci; używanie takiej formuły było zarówno swojego rodzaju deklaracją ideologiczną, wyrazem hołdu, jak i sygnałem bliskości. Jestem pewien, że dla Andrzeja bycie Polakiem, bycie polskim gorącym patriotą, nie oznaczało bycia z natury rzeczy przeciw obcym, kimkolwiek by oni byli.

I jeszcze chciałbym podkreślić: umiał być w swych poglądach niezależny i je głosić także wtedy, gdy wchodziły w konflikt z mniemaniami przyjętymi, niemal obowiązującymi. Był konsekwentnym krytykiem Powstania Warszawskiego. Nie chodziło mu, rzecz jasna, o bohaterskich jego żołnierzy. Słowa krytyki kierowały się pod adresem tych, którzy podjęli decyzję o jego wybuchu, decyzję, którą oceniał jako lekkomyślną i nieodpowiedzialną, taką, która doprowadziła do śmierci ogromnej liczby osób i zburzenia miasta. W swych poglądach dotyczących również spraw najważniejszych umiał być niezależny.

Po ukończeniu studiów Andrzeja widywałem rzadko, od przypadku do przypadku. Nie potrafię opowiedzieć o jego losach. Był działaczem harcerskim, uzyskał tytuł profesorski, uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu jako specjalista od spraw edukacji i wychowania, nie muszę dodawać, że zasiadał po stronie opozycji demokratycznej. Po zmianie ustrojowej został wiceministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, najbliższym współpracownikiem znakomitego historyka, Henryka Samsonowicza, który objął tekę ministra edukacji. Po tym, jak ją przejął pewien prawnik, specjalista w dziedzinie prawa rolnego, ale nieorientujący się w sprawach oświaty, Andrzej podał się do dymisji, bo nie chciał uczestniczyć w firmowaniu decyzji, które uważał za niekompetentne i w wielu wypadkach po prostu niemądre i szkodliwe. Andrzej Janowski we wszystkim, co robił, był człowiekiem zasadniczym. Myślę, że to proste zdanie dobrze podsumowuje jego życie i działania, które podejmował.

17 grudnia 2020 – 1 stycznia 2021

Barbara Skarga (1919–2009)

Początkowo Barbarę Skargę znałem jedynie z widzenia, jak wiele innych osób pracujących w Pałacu Staszica, dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że przed kilku laty wróciła z zesłania na Syberii, które zabrało jej dziesięć lat życia, a osobiście poznałem jeszcze później. Gdybym pisał dydaktyczną przypowieść, przedstawiającą tę biografię, nazwałbym ją *O kobiecie, która nie dała się złamać*. Bo to właśnie jest najbardziej imponujące, że nie dała się złamać mimo dziesięciu lat zesłania na Syberii, lat, stanowiących ogromną wyrwę w życiorysie, wypełnionych cierpieniem, trudnych i bolesnych. Budzi podziw, gdy się patrzy na tę kobietę z różnych perspektyw. Nie dała się złamać, bo nie przyjęła pozycji ofiary, uniknęła resentymentów, które przy takiej życiowej kondycji narzucają się same. Kiedy w swych wspomnieniach, wydanych w czasach Polski Ludowej w drugim obiegu pod pseudonimem Wiktoria Kraśniewska, później wznawianych pod własnym nazwiskiem, opowiadała o swojej syberyjskiej epopei, nie rozczulała się nad sobą, przedstawiała swoje losy rzeczowo, zarysowywała sylwetki towarzyszy niedoli, wnikliwie analizowała sytuację. Czasem stawia się tę książkę obok *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego, uchodzącego za najlepszą polską relację o sowieckiej niewoli.

To zaś, że nie dała się złamać, najlepiej widać w tym, jak pokierowała swoim dalszym życiem. Wróciła w wieku, w jakim studia ma się już za sobą. Przerwane zostały przed laty, mało kto tak dramatycznie wytracony z normalnego toku życia miałby ochotę

na ich dokończenie, zajęłyby się czymkolwiek, podjąłby jakąś pracę, najpewniej taką, z którą nie łączyły się osobiste ambicje intelektualne, taką, jaka zapewniałaby elementarne utrzymanie, ale też nie wymagała szczególnego wysiłku umysłowego. W rozmowach z Katarzyną Janowską i Piotrem Mucharskim wspomina prof. Skarga, że po powrocie jako osoba z niepełnym wyższym wykształceniem mogłaby zostać urzędniczką, ale tego nie chciała. Postanowiła wrócić do filozofii, szybko zrobiła magisterium i wkrótce potem – doktorat. Lata między październikiem 1956 a marcem 1968 były wielkim okresem w dziejach sekcji filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, na katedry wrócili starzy profesorowie o różnych orientacjach, o jej charakterze zdecydowali jednak ci przede wszystkim, którzy działalność rozpoczęli tuż po wojnie i w większości przypadków dali się poznać za młodu jako fanatyczni marksiści-leniniści, a więc z pewnością niewiele się po nich spodziewano. To jednak nie Kotarbiński i Tatarkiewicz zdecydowali wówczas o obliczu tego wydziału, najważniejszymi osobami stali się Kołakowski i Baczko, ale liczyli się także inni filozofowie i historycy filozofii tworzący kierunek, który zwykło się nazywać warszawską szkołą historii idei; tworzyli oni też grupę przyjacielską, to w nią właśnie weszła Barbara Skarga. Nie przeszkadzała jej partyjna przeszłość tych, którzy stali się jej koryfeuszami, choć mogły ją od nich odstręczać mocne komunistyczne antecedencje (gdy ją, działaczkę AK z Wileńszczyzny, wywieziono na Sybir, oni budowali totalitarną rzeczywistość!). Niewątpliwie już wtedy była świadoma, że ci wybitni ludzie od komunizmu odeszli i w istocie go zwalczają. W różnych sytuacjach mówiła zwłaszcza o Kołakowskim jako o człowieku sobie najbliższym, kiedyś określiła go nawet jako brata. Już w tym widoczna była jej wielkoduszność i mądrość.

Zasadnicza część życia zawodowego Barbary Skargi toczyła się jednak nie na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zdobyła dwa pierwsze stopnie i gdzie w dowód uznania po kilkudziesięciu latach zorganizowano uroczystość odnowienia doktoratu, jej instytucją macierzystą nie tylko w latach aktywności zawodowej, ale także w dwu dekadach, na które przypadła jej emerytura, był PAN-owski Instytut Filozofii i Socjologii (podobno o jej zatrudnieniu zdecydował Adam Schaff, osoba wówczas prominentna). Tutaj pracowała najpierw w zespole zajmującym się gromadzeniem materiałów do historii filozofii polskiej, a potem już jako profesor (niestety, nie dysponuję wiedzą o tym, jak te etapy naukowej kariery rozkładały się w czasie). W pierwszej fazie pracy w IFIS-ie przyszło Skardze zajmować się pozytywizmem, czyli gromadzić materiały związane z historią myśli polskiej drugiej połowy XIX wieku. Jak się okazało, miało to dla niej wielkie znaczenie, bo w ten sposób uzbierała materiały do swych pierwszych książek. Mogła materiały te analizować w powiązaniu z filozofią francuską, którą zresztą się zajmowała – by tak powiedzieć – osobno, bo doskonale znała francuski. W rozmowach z Janowską i Mucharskim stwierdziła, że za młodu posiadała liczne języki obce, także klasyczne, i że je utraciła nie tylko dlatego, że za Uralem nie miała okazji, by się nimi posługiwać, ale

przede wszystkim z powodu niedożywienia i ogólnego wycieńczenia, pozostał tylko ten jeden; Z faktu, że o pozytywizmie w pierwszym okresie swej twórczości sporo pisała, wnioskowano, że jest to jej główna tradycja filozoficzna. W późnych latach przeciw tej dość powszechnej opinii protestowała, twierdziła, że myślą pozytywistyczną zajmowała się jako historyk filozofii, a o tym, że nią właśnie, zdecydowały różne okoliczności. Zapewniała, że jej tradycja jest inna, nie pozytywistyczna, choć pisała nie tylko o pozytywistach polskich, ale także o Comcie i Bernardzie, nie szeroko rozumiana filozofia analityczna, ale ta, która podejmuje problematykę metafizyczną. Świadczą o tym jej fascynacje ujawniane w książkach ostatnich, by wspomnieć tylko Levinasa i Heideggera. Nie będę się jednak wdawał w rozważania o wyborach filozoficznych Barbary Skargi, nie mam po temu kompetencji, nie jest to zresztą sprawa, która w tym przypadku szczególnie by mnie interesowała. Mój podziw budzi jej biografia – i niebывały hart ducha. Ktoś, bodaj Władysław Stróżewski, powiedział, że była najwybitniejszym filozofem polskim drugiej połowy XX wieku.

Ze względu na zesłanie tytułu naukowego uzyskała z opóźnieniem, stosunkowo późno została profesorem, myślę jednak, że nie tylko szybko weszła w naukowe środowisko, ale też szybko wypracowała sobie nazwisko. Najpierw osiągnęła dobrą pozycję jako badaczka polskiej filozofii pozytywistycznej i znawczyni nowszej filozofii francuskiej, w następnym okresie – jako poważna filozofka. Należy się dziwić, że nie wybrano jej do Polskiej Akademii Nauk. Ta sprawa wypłynęła na jednym z pierwszych posiedzeń wydziału nauk społecznych, na którym byłem, a więc tuż po roku 1994 – i szybko załatwiono ją negatywnie. Zaważyły na tym dwa względy. Pierwszy to taki, że filozofowie się nie dogadali i zgłosili dwie, jeśli nawet nie równorzędne, to dobre kandydatury, głosy się rozproszyły. Drugi to wiek. Zabrał głos wybitny psycholog, który dowodził, że osoby w tym wieku nie powinny być już w poczet członków Akademii przyjmowane; jego argumenty przekonały wielu tych, którzy mieli prawo głosu.

W roli filozofa funkcjonowała prof. Skarga zwłaszcza w ostatnim ćwierćwieczu swojego życia. Stała się osobą publicznie znaną, jeśli nawet nie w skali masowej, to wśród inteligencji Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk, które traktowała jako inicjatywę cenną, jeden z przejawów odzyskiwania swobody w życiu naukowym i formowania się społeczeństwa obywatelskiego. Nie mam pewności, czy to ona właśnie zaproponowała nieco archaicznie brzmiącą nazwę Towarzystwa, pamiętam jednak, że za nią się energicznie opowiedziała i chyba za jej sprawą została ona przyjęta. Jednakże kiedy po roku 1989 TPKN został reaktywowany, w jego prace już chyba się nie włączała, miała swoje lata, a ponadto w wolnym kraju mogła w inne sposoby działać jako osoba publiczna. Na pewno zaś brała udział w jego działaniach, gdy Towarzystwo było przez lata osiemdziesiąte zawieszona. Należała do zespołu grupującego osoby o szczególnym autorytecie, była członkiem komisji zajmującej się przyznawaniem stypendiów tym

młodym naukowcom, którzy związani byli z opozycją demokratyczną i nie mieli szans na normalne funkcjonowanie. Kiedyś mówiła, że dzięki temu TPKN-owi miała szansę poznania wielu wybitnych reprezentantów nauk ścisłych i bardzo to sobie chwaliła. W ogólności była osobą ciekawą ludzi, a przy tym – o ile wiem – towarzyską, a także towarzysko atrakcyjną.

Autorytet miała wielki, choć nie przez wszystkich była lubiana. O jednym i o drugim mogłem się przekonać, gdy przez trzyletnią kadencję (w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych) byłem członkiem Rady Naukowej PAN-owskiego Instytutu Filozofii i Socjologii. W czasie posiedzeń zabierała głos w większości ważnych spraw, o jakich deliberowano, jej opinie się liczyły i miały wpływ na podejmowane decyzje. Niewątpliwie zależało jej na oczyszczeniu Instytutu z PRL-owskich naleciałości, na pozbyciu się tych osób, w przypadku których, jeśli nie jedynym, to najważniejszym uzasadnieniem zatrudnienia w tym Instytucie była legitymacja PZPR, chodziło o postaci w rodzaju byłego cenzora, który znalazł sobie w nim miejsce, występując bodaj w roli religioznawcy. Pod tym względem sytuacja w IFIS-ie przedstawiała się inaczej niż w IBL-u, u nas takie postaci, poza jedną ponurą panią docent, w zasadzie nie pracowały (i ona zresztą, choć nie była wybitną uczoną, była na niezłym poziomie profesjonalnym). Instytut, zajmujący się filozofią i socjologią, znajdował się w Polsce Ludowej bliżej tego, co nazywano frontem ideologicznym. Zdarzało się, że do niego trafiali zarówno wyranżerowani działacze partyjni, jak i absolwenci partyjnych szkół. Nie było powodu, by pracowników tego rodzaju nadal zatrudniać, stanowili niepotrzebne obciążenie, tym bardziej że wyniki ich uczonych (czy pseudouczonych) trudów były na ogół mierne. Wypowiedzi pani Skargi w tych sprawach były formułowane ostro i zdecydowanie.

Pokazuje on nieznaną stronę osobowości Skargi, choć większego znaczenia w jej życiu nie miał. Nic jej ani wtedy, ani w latach późniejszych nie łączyło z radykalnym antykomunizmem skrajnej prawicy – i łączyć nie mogło, jeśli się zważy, jakie ma on uwikłania i jak wiele go łączy z myśleniem totalitarnym, choć z pozoru mu się przeciwstawia. Wszystko na to wskazuje, że bliskie jej było demokratyczno-liberalne centrum, w którym znaleźli się byli opozycjoniści, mający w swej biografii epizod komunistyczny, w rodzaju Kołakowskiego i Kuronia, a także krąg „Tygodnika Powszechnego” z Turowiczem i księdzem Bonieckim, choć do spraw religii podchodziła z dystansem, nie była zresztą katoliczką, należała do kościoła ewangelicko-reformowanego. Została pochowana na cmentarzu na Żytnej w grobie rodzinnym. Moje kontakty z nią były raczej przygodne. Widywałem ją często w Filharmonii, przez lata miała abonament na piątkowe koncerty symfoniczne. Stykałem się z nią w Pałacu Staszica, a także na zebraniach Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk. Bywało jednak, że i w sytuacjach towarzyskich, kiedyś u Szczuckich, a raz w Krakowie. Obydwoje pojechaliśmy na promocję kolejnego tomu *Rozmów na koniec wieku* Janowskiej i Mucharskiego, znalazły się w nim bowiem

wywiady z nami. Odbyła się ona w kościele Franciszkanów, a zakończyła uroczystą kolacją w restauracji „Paese”; niestety wyznaczono mi miejsce obok osób dużo mniej interesujących. Utkwił mi w pamięci wspólny obiad dnia następnego, tuż przed powrotem do Warszawy, w którejś z krakowskich knajpek, bardzo sympatyczny; uczestniczyła w nim także profesorka prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, jej przyjaciółka jeszcze z czasów wileńskich (nazwiska niestety nie zapamiętałem). Pani Profesor traktowała mnie zawsze z dużą przychylnością i sympatią.

Zakończę tę skromną opowieść przypomnieniem sceny sprzed Pałacu Staszica z pierwszych dni stanu wojennego. Uformowała się kilkusobowa grupa złożona z osób mocno zdenerwowanych. Kiedy się żegnaliśmy, powiedziała do mnie: teraz musimy wszyscy być w kontakcie i zaproponowała, byśmy wymienili numery telefonów. Niestety, nie miało to wówczas praktycznego znaczenia, telefony na terenie całego kraju wciąż były wyłączone.

4–5 października 2009

Three outstanding minds. III

Profiles of the three Polish humanists as remembered by prof. Michał Głowiński.

Key words: Michał Głowiński, Polish humanists, Zbigniew Bieńkowski, Andrzej Janowski, Barbara Skarga

